

EROTICA

DZIEŁA KOBIET OD SAFO
DO MARGARET ATWOOD

ZREDAGOWANE PRZEZ
MARGARET REYNOLDS
z przedmową od
Jeanette Winterson

Fawcett Columbine
New York

Dla J., która tłumaczy.

I dla jasnych dni:
kiedy słońce gasi źrenice do rozmiaru szpilek
i ledwo udaje się nam widzieć

SPIS TREŚCI

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Angela Carter

Krwawa komnata (The Bloody Chamber)

NIEBEZPIECZEŃSTWO

Rozkosz i ból są intymnie połączone. Oba sprawiają ciało boleśnie wrażliwym. W miłości, jak i w cierpieniu, nie może być miejsca na powstrzymywanie się, powściągliwość, tajemne miejsca. W swoim opowiadaniu Angeli Carter mówi: 'jest pewne uderzające podobieństwo pomiędzy aktem miłości i machinacjami kata'.

Kat i ofiara, kochanka i ukochana – jeżeli one są sobie równoległe, to proponowana jest hierarchia w miłości. Połączenie pomiędzy rozkoszą i bólem jest wytworzone częściowo przez założenie związku bazującego na władzy. Według tegoż wzoru zawsze musi istnieć 'top' i zawsze musi istnieć 'bottom'. W naszej kulturze, kobieta jest zawsze 'bottom'em, mężczyzna zawsze 'top'em. Ona jest ukochaną, ona jest ofiarą, on jest kochankiem, dzierżącym władzę. Kochanie jest czymś jej robionym, cierpienie jest tym, co robi.

Angela Carter

Krwawa komnata (The Bloody Chamber)

()

Jedna z wersji opowieści o Niebieskobrodym ze zbioru rewizjonistycznych baśni, z których ta jest powieścią tytułową.

Pamiętam jak, tamtej nocy, leżałam z otwartymi oczami w wagonie—oświetlona czułą, pyszną ekstazą podniecenia, płonącym policzkiem wciśniętym w nieskazitelne płótno poduszki, i łomotem serca naśladującym to potężnych tłoków nieustannie pracujących niosący mnie poprzez noc, z dala od Paryża, z dala od dziewczęctwa, z dala od białej, zamkniętej ciszy apartamentu mojej matki, prosto w nieodgadnioną krainę małżeństwa pociąg.

I pamiętam jak czule wyobrażałam sobie jak, w tym właśnie momencie, moja matka przechadzała się powoli po wąskiej sypialni, którą zostawiłam na zawsze, składając i odkładając moje relikwie, już mi niepotrzebne pomięte ubrania, nuty które nie pomieściły się w kufrach, porzucone programy koncertowe, zwlekając nad podartą wstążką i tą zblakłą fotografią z tymi wszystkimi pół-radosnymi pół-żałosnymi emocjami matki w dniu ślubu jej córki. I, pośrodku ślubnego triumfu, poczułam ukłucie straty jakbym, kiedy on nasadził złotą obrączkę na mój palec, przestała być jej córką stając się jego mężem.

Jesteś pewna, powiedziała, kiedy dostarczono gigantyczne pudło zawierające suknię ślubną którą mi kupił, zapakowaną w bibułę i czerwoną wstążkę, jak świąteczny prezent krystalizowanych owoców. Jesteś pewna, że go kochasz? Była tam suknia i dla niej; czarny jedwab, z matowym, pryzmatycznym połyskiem oleju na wodzie, piękniejsza od czegokolwiek, co nosiła od pełnego przygód

dzieciństwa w Indochinach jako córka bogatego plantatora herbaty. Moja niezłomna matka o orlich rysach; która inna studentka Konserwatorium mogła pochwalić się, że jej matka rozprawiła się z pełną dżonką chińskich piratów, przepielęgnowała wioskę przez odwiedzinę dżumy, zastrzeliła z własnej dłoni ludożernego tygrysa, i wszystko to zanim była w moim wieku?

‘Jesteś pewna, że go kochasz?’

‘Jestem pewna, że chcę go poślubić’, powiedziałam.

I nie mówiła już nic więcej. Wzdechnęła, jakby z niechęcią odganiała w końcu widmo ubóstwa z jego zwyczajnego miejsca przy naszym skromnym stole. Ponieważ moja matka sama z siebie chętnie, skandalicznie, buntowniczo zebrała za miłością; i, pewnego pięknego dnia, jej waleczny rycerz już nie powrócił z wojen, pozostawiając swojej żonie i dziecku spadek z łez które nigdy do końca nie schły, pudełko od cygar pełne medali i antyczny służbowy rewolwer który moja matka, stając się wspaniale ekscentryczna w trudnościach, zawsze miała w torebce, na wypadek, gdyby – jak sobie z niej kpiłam – zaskoczyli ją rozbójnicy w drodze do domu z zakupami.

Od czasu do czasu eksplozja świateł uderzała w zaciągnięte żaluzje, jakby na rozkaz kompanii kolejowej pozaświecano na cześć panny młodej wszystkie światła na każdej stacji. Moja atlasowa koszula nocna dopiero co została wytrzęsiona z opakowania; nasunęła się na moje młode zadarte piersi i ramiona, miękka, jakby z ciężkiej wody, i teraz pieszczotliwie łaskotała mnie, skandaliczna, przymilna, głaskając mnie między udami kiedy przewracałam się niespokojnie po wąskiej koi. Jego pocałunek, jego pocałunek z językiem, zębami, i drapnięciem brody, wskazywał mi, choć z takim samym znakomitym taktem jak ta dana mi koszula, na noc poślubną, która była zmysłowo wstrzymana aż nie położymy się w jego potężnym rodowym łóżu w otoczonej morzem fortecy leżącej, dalej, poza zasięgiem mojej wyobraźni ... to magiczne miejsce, bajkowy zamek ze ścianami z piany, to legendarne domostwo w

którym się urodził. Na które, pewnego dnia, mogę urodzić dziedzica. Nasze miejsce przeznaczenia, moje przeznaczenie.

Poprzez nierówny ryk pociągu słyszałam jego równy, spokojny oddech. Tylko wewnętrzne drzwi oddzielały mnie od mojego męża, a były one otwarte. Uniosłam się na łokciu, widziałam ciemny, lwi kształt jego głowy, a moje nozdrza schwyciły powiew bogatej męskiej woni skóry i przypraw która zawsze mu towarzyszyła, i, czasami, podczas jego zalotów, była jedyną daną mi wskazówką, że wszedł do salonu mojej matki, bo, mimo bycia roslým mężczyzną, poruszał się miękko, jakby wszystkie jego buty były podbite aksamitem, jakby jego kroki zamieniały dywan w śnieg.

Uwielbiał zaskakiwać mnie w mojej roztargnionej samotności przy pianinie. Mówił służbie żeby go nie zapowiadała, po czym bezgłośnie otwierał drzwi i łagodnie podkradał się do mnie od tyłu z bukietem kwiatków cieplarnianych albo pudełkiem marron glacés, kładł podarunek na klawiszach i zakrywał mi dłońmi oczy kiedy ja byłam zagubiona w preludium Debussy'ego. Ale ta perfuma z przyprawionej skóry zawsze go zdradzała; po pierwszym szoku, byłam zmuszona zawsze udawać zaskoczenie, żeby się nie zawiódł.

Był ode mnie starszy. Był ode mnie dużo starszy; pasma czystego srebra przenikały jego ciemną grzywę. Ale jego dziwnej, ciężkiej, prawie woskowo bladej twarzy nie zaorało doświadczenie. Raczej, doświadczenie wydawało się wymyć ją na perfekcyjną gładź, jak kamień na plaży, którego szczeliny zerodowały kolejne pływy. I czasami ta twarz, nieruchoma kiedy słuchał jak gram, z ciężkimi powiekami zakrywającymi oczy niepokojące mnie ich absolutnym brakiem światła, wydawała mi się maską, jakby jego prawdziwa twarz, twarz prawdziwie oddająca wszystkie życie, które wiódł w szerokim świecie zanim mnie spotkał, zanim, nawet, się urodziłam, jakby ta twarz leżała pod tą maską. Albo i gdzie indziej. Jakby odłożył gdzieś twarz w której żył tak długo żeby zaoferować mej młodości twarz na której nie zapisały się te lata.

I, gdzie indziej, może zobaczę go otwartego. Gdzie indziej. Ale,

gdzie?

W, być może, tym zamku pod który pociąg nas właśnie zawiózł, tym cudownym zamku w którym się narodził.

Nawet, kiedy mi się oświadczył, a ja się zgodziłam, dalej nie stracił tego swojego ciężkiego, mięsistego opanowania. Wiem, że taka analogia może wydawać się dziwaczna, człowieka z kwiatem, ale czasami wydawał mi się jako lilia. Tak. Lilia. Opętany tym dziwnym, złowrogim spokojem świadomego warzywa, jak jedna z tych kobrogłowych pogrzebowych lilii których płatki wywijają się z ciała tak grubego i z napięciem ustępującego dotykowy jak welin. Kiedy powiedziałam, że go poślubię, nie drgnął na jego twarzy ani jeden mięsień, a tylko wydał z siebie długie przytłumione westchnienie. Pomyślałam: Och! jakże on musi mnie chcieć! I wydawało mi się że nieogarniony ciężar jego pożądania był siłą której mogę nie być w stanie się oprzeć, nie przez jej gwałtowność, ale przez jej istną powagę.

Pierścionek miał przygotowany w skórzanym puzderku wyłożonym karmazynowym aksamitem, ognisty opal rozmiaru gołębiego jaja osadzony w skomplikowanej otoczce z ciemnego, antycznego złota. Moja stara opiekunka, która dależ żyła z moją matką i mną, przypatrzyła się z ukosa przez przymrużone powieki: opale są peszne, powiedziała. Ale ten opal był pierścieniem jego własnej matki, i babki, i jej matki przed tym, przekazany przodkowi przez Catherine de' Medici ... nosiła go każda panna młoda przyjeżdżająca do zamku, bez względu na czasy. Czy więc dał je swoim innym żonom po czym go im odebrał? zapytała niegrzecznie starsza kobieta; mimo to była snobem. Schowała swą niedowierzania pełną radość moim małżeńskim osiągnięciem – jej malutka Markiza – za fasadą szukania dziury w całym. Ale, tutaj, dotknęła mnie. Wzruszyłam ramionami i małostkowo odwróciłam się do niej plecami. Nie chciałam przypominać sobie że kochał przede mną inne kobiety, ale ta wiedza często dokuczała mi w przetartej pewności siebie godzin porannych.

Miałam siedemnaście lat i nie wiedziałam o świecie nic, mój Markiz był już wcześniej żonaty, więcej niż raz, i dezorientowało mnie, że po tych innych miałby wybrać mnie. Ba, czyż nie był dalej w żałobie po swojej ostatniej żonie? Moja stara niania zacmokała z niezadowoleniem. A i nawet mojej matce nie podobało się, że jej córka jest zabierana przez kogoś tak niedawno osamotnionego. Rumuńska hrabina, dama wysokiej mody. Martwa tylko trzy krótkie miesiące zanim go spotkałam w wypadku przy przejeździe łodzią, w jego domu, w Bretanii. Nigdy nie znaleźli jej ciała ale poszperałam trochę w starszych kopiach magazynów klubowych opiekunki w kufrze pod jej łóżkiem i wytropiłam jej fotografię. Ostry pysk ładnej, dowcipnej, niegrzecznej małpki; taki potężny i dziwaczny urok, ciemnej, jasnej, dzikiej ale światowej rzeczy której naturalnym środowiskiem musiała być dżungla jakiegoś luksusowego dekoratora wnętrz wypełniona roślinami doniczkowymi i oswojonymi, skrzeczącymi papużkami.

Przed tem? Jej twarz jest powszechną własnością; malował ją każdy, ale najbardziej podobał mi się sztych Redona, *Wieczorna gwiazda idąca brzegiem nocy*. Widząc jej szkieletową, enigmatyczną grację, nikt nie pomyślałby że była barmanką w kawiarni w Montmartre dopóki Puvis de Chavannes dostrzegł ją i wyeksponował jej płaskie piersi i wydłużone uda działaniem swojego pędzla. Koniec końców zgubił ją absynt, a przynajmniej tak mówiono,

A pierwsza z dam? Okazała diwa; słyszałam, jak śpiewała Izoldę, ponad wiek muzycznie rozwinięte dziecko jakim byłam, wzięte do opery w ramach urodzinowej niespodzianki. Moja pierwsza opera; słyszałam, jak śpiewała Izoldę. Z jakąż do białości rozgrzaną pasją płonęła ze sceny! Widać było, że młodo umrze. Siedzieliśmy wysoko, w pół drogi do nieba, u szczytu widowni, a mimo to mnie oślepiła. I mój ojciec, żyjący jeszcze (och, tak dawno temu), chwycił moją małą lepką łapkę, żeby mnie pocieszyć, w ostatnim akcie, ale jedynym co słyszałam była wspaniałość jej głosu.

Ożeniony trzykrotnie za mojego krótkiego życia z trzema różnymi wdziękami, a teraz, jakby demonstrując eklektyzm swojego gustu, zaprosił mnie do dołączenia do jego galerii pięknych kobiet, mnie, dziecko biednej wdowy z moimi mysimi włosami dalej noszącymi ślady splotu z którego tak niedawno zostały uwolnione, moimi kościstymi biodrami, moimi nerwowymi palcami pianistki.

Był bogaty jak Krezus. Noc przed naszym ślubem – prosta celebracja w ratuszu bo hrabina odeszła tak niedawno – wziął moją matkę i mnie, dziwnym zbiegiem wypadków, na *Tristana*. Serce tak urosło mi, tak mnie bolało podczas Liebestod że myślałam że prawdziwie go kochałam. Tak, kochałam. Idąc z nim pod rękę, wszystkie oczy patrzyły się na mnie. Szepczący tłum w foyer rozstał się jak morze czerwone by nas przepuścić. Skóra płonęła mi pod jego dotykiem.

Jakże moja sytuacja się zmieniła od ostatniego razu kiedy słyszałam te zmysłowe akordy niosące w sobie taki ładunek śmiertelnej pasji! Teraz, siedzieliśmy w łoży, w fotelach obitych czerwonym aksamitem, a wyszczekany pacholek przyniósł nam srebrne wiadro mrożonego szampana podczas przerwy. Piana wyrosła ponad brzeg mojego kieliszka i rozlała po dłoniach, pomyślałam: kielich mój przelewa się. I byłam w sukni od Poireta. Nakłonił moją niechętną matkę żeby pozwoliła mu kupić mi moją wyprawkę ślubną; w czymż innym pojechałabym do niego, w przeciwnym wypadku? Dwukrotnie już cerowanej bieliźnie, wyblakłej kraciance, serżowych spodnicach, „dziedzicznych” szmatach. Więc, do opery, włożyłam pofalowaną halkę z białego muślinu zawiązaną białą jedwabną wstążką po piersiami. I wszyscy się na mnie gapili. I na jego prezent ślubny.

Jego prezent ślubny, ściskający moją krtąń. Ciasny rubinowy naszyjnik, szeroki na dwa cale, jak nadzwyczajnie cenne poderżnięte gardło.

Po Terrorze, we wczesnych dniach Dyrektoriatu, arystokraci uciekli gilotynie oddali się przelotnej modzie wiązania czerwonej

wstążki wokół szyi w tym dokładnie punkcie w którym przecięłoby ją ostrze, czerwona wstążka jako wspomnienie rany. Jego babka, porwana ideą, przygotowała sobie wstążkę z rubinów, jakież akt luksusowego buntu! Tamten wieczór w operze powraca do mnie nawet teraz ... biała suknia, to weń wątle dziecię, i błyszczące karmazynowe klejnoty wokół jego gardła, jasne jak krew tętnicza.

Widziałam jak oglądał mnie w złożonych lustrach krytycznym wzrokiem konesera kontrolującego końskie ciało, albo wręcz gospodyni na targu, przeglądającej płaty mięsa na ladzie. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, a przynajmniej nie zwróciłam uwagi na to jego spojrzenie, jego czystą cielesną chciwość; i w dziwny sposób wzmacniał ją monokl zatknięty w jego lewym oku. Kiedy zauważyłam z jakim pożądaniem na mnie patrzył, opuściłam wzrok, ale, odwracając go od niego, złapałam mój obraz w lustrze. I zobaczyłam się, nagle, tak jak on mnie widział, moją bladą twarz, sposób, na który mięśnie mojego karku wystawały jak cienki drut. Zauważyłam jak bardzo ten okrutny naszyjnik stał się mną. I, po raz pierwszy w moim niewinnym i ograniczonym życiu, wyczułam w sobie możliwość deprawacji, która odebrała mi oddech.

Następnego dnia, wyszliśmy za siebie.